





K. K.

Z powodu wspomnień  
o Mickiewiczu.

Niwa 1879, tom XVI, zeszyt 113.

Łódź.





## Z POWODU WSPOMNIENIŃ O MICKIEWICZU.

Kiedy Stefan Witwicki i kilku innych Zoilów, słuchając po raz pierwszy co dopiero ukończonego *Pana Tadeusza*, ośmieleni wielką skromnością i prawdziwie królewską obojętnością jego twórcy, nadużywali podobno swej roli i za to surowej podlegli krytyce, wówczas jeden z przyjaciół wieszczu, sędziwy Bohdan Zaleski, stojąc w obronie jak mówił, pokrzywdzonych, ofiarował publiczności ustęp z pamiętnika, traktujący o Mickiewiczu w porze, gdy pracował nad sławną epopeją. Wprawdzie autor *Ducha od stępu* nie przekonał nas, ażeby wzięci przezeń w obronę towarzysze dobrze się zasłużyli około ostatecznego ukształtowania poematu; niemniej przeto zajmujące jego opowiadanie jest ważnym przyczynkiem do biografii Mickiewicza, tej biografii, na brak której tak uporczywie utyskujemy, niepomni, że do niedawna nie było jeszcze do niej meteryału, płynącego obficie dopiero od lat kilku.

Żałować należy, że inni druhowie i bliżsi znajomi wielkiego poety, nie wyjmując i Zaleskiego, mniej się okazują czułymi na nierównie ważniejsze uchybienia i błędy, jakich pełno—w licznych wspomnieniach i opowiadaniach. Wedle naszego zdania jestto obowiązkiem członków tej szczupłej już dzisiaj drużyny, która niegdyś otaczała wieszczu: karcić bez skrupułów wszelki fałsz i wszelką przesadę, ażeby snąc błędne i kłamliwe wiadomości nie przeszły do następnych pokoleń. Obowiązek ten spełnia wytrwale p. Władysław Mickiewicz, lubo nieraz spotyka się za to ze szorstkiem słowem ze strony tych, którzy zamiast uderzyć się w piersi i przyznać do winy, wolą trwać w błędzie i dowodzić, że wcale nie uchybili wielkiemu mężowi, powtarzając o nim niestworzone ba-

INSTYTUT

42

DAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

23.036

27) Warszawa, ul. Nowy Świat 71  
Tel. 26-58-63

<http://rcin.org.pl>

śnie. Ale i sam p. Władysław M. niezupełnie pod tym względem wolny jest od zarzutu, wprawdzie tylko jako wydawca; lecz drukując cokolwiekbądź o swym ojcu, przyjmuje on na siebie odpowiedzialność i ręczy niejako za prawdę tego, co wyszło z pod obcego pióra. Pisane do niego, a ogłoszone przed trzema laty w Paryżu „listy o Adamie Mickiewiczu“ Teofila Lenartowicza, zawierają w sobie ciekawe ustępy i szczegóły; — cóż, kiedy i one grzeszą przesadą, tem mniej tu właściwą, że wzniosła postać poety nie potrzebuje sztucznej aureoli. Czytelnika tej pięknej zkądinąd książeczki razi niepotrzebne poniżanie Krasińskiego i Słowackiego, razi szczególnie przytaczanie wypadków, jeśli nie wprost zmyślonych, to przynajmniej ubarwionych przez ludzi bujnej i płodnej imaginacyi. Do podobnych wypadków należy zaliczyć fatastyczne podanie o wiewiórce, którą Mickiewicz kupił dla córki, Maryni, idąc na prelekcją do *College de France*. Schowana w zanadru, wciągu wykładu miała się profesorowi dać dotkliwie we znaki, bo zaczęła go gryść „w same muskuły“... Nieszczęśliwy, wedle efektownego opisu, „spogląda na zegarek; jeszcze dwadzieścia minut, a tu już krwi pełna ręka i przez palce leci; zebrał całą siłę ducha i, uśmiechając się, dokończył lekcyi; znajomi i nieznanomi Słowianie wyciągali do niego ręce do uścisku, a ten wychodził, zaciskając zęby od nowych ran i zapewne im się musiał dumnym wydawać...“

Zacny autor *Zachwyconej* zapomina o wielkiej prawdzie, mieszczącej się we francuzkiem przysłowiu: *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*, gdy nie zadowolony powyższym opisem, dodaje uroczyście: „Rys ten charakteru ojca warto, żeby nie zaginął; starożytni tego rodzaju fakta notowali w historii; śmieszne to, a ma tyle wartości moralnej, co paląca się ręka *Scewoli*...“

Idąc tak dalej, zamiast biografii poetów, pisać będziem legendy o męczennikach, zacierając indywidualną fizyognomią człowieka bombastycznymi dytyrambami. Na szczęście, czy na nieszczęście, czytelnik choćby najbardziej do uwierzenia skłonny, znajduje zwykle inne jakieś świadectwo, które mu tę wiarę odbiera. Traf zdarzył, że w kilka tygodni po wydaniu książeczki Lenartowicza, pani Marya Górecka opowiedziała w *Kronice rodzinnej* wypadek z wiewiórką; ale jakżeż odmiennie brzmi jej narracya! Od najwiarogodniejszego świadka, bo od samejże właścicielki ruchliwego stworzenia, dowiadujemy się przeto, że uwięziona mieszkanka lasów „zaczęła się żywo kręcić, szukając wyjścia z ciemnej kryjówki“, że następnie „trafiła w otwór od

rękawa i żywo zsuwać się przezeń poczęła“ tak, że profesor musiał co prędzej skrócić drugą ręką u dołu rękaw i trzymać go silnie do końca prelekcji.

Zestawiliśmy z umysłu przed oczyma czytelnika dwie tak różne wersje o tej samej rzeczy, ażeby przechodząc „z hymnu do prostej powieści“, przekonał się namacalnie, jak dalece mniej lub więcej bujna imaginacya może najzwyczajniejsze zdarzenia wynieść do wysokości tragicznych wypadków. Panowie ci, powtarzamy, którym dane było stykać się z wielkimi ludźmi, powiniby przyjąć to za pewnik, że źle służą ich pamięci, dopuszczając się w opowiadaniu jakiegokolwiek przesady. Innego widocznie zdania był p. Alojzy Ligenza Niewiarowicz, w którego relacji o Mickiewiczu dziwne spotykamy rzeczy. Przytoczmy tutaj choć jeden jaskrawszy przykład: *ex uno disce omnia*. Ażeby wytłumaczyć niesmaczny ustęp „o szkodliwości i głupocie (sic) konwenansów“ mówi pan N.: „Oto za ledwie parę tygodni temu, Krystyn Ostrowski napisał w języku francuzkim dramat p. t. *Jan Sobieski pod Wiedniem* i złożył go w ręce pana Sarcey, dyrektora teatru w Paryżu. Długo czekał p. Krystyn Ostrowski na odpowiedź, podobno—rok cały. Wreszcie dramat przypuszczono do odczytania i był przyjęty z pochwałami, ale na scenie się nie pokazał. Dla czego? Oto dla tego, że pan Ostrowski niezgrabnie zawiązuje krawatkę. To są słowa pana dyrektora. Zda się to nie do uwierzenia, a tymczasem rzecz istotnie tak się ma...“

Na takie *dictum* można chyba powiedzieć: niech wierzy, czyja wola; my jednak, nie podejrzewając dobrej wiary autora, powtórzmy z księciem biskupem warmińskim:

Wszystko to być może —

Lecz ja to jednak między bajki włożę...

Bardzo ciekawym w opowiadaniu p. Niewiarowicza jest ustęp, wyjaśniający okoliczności, wśród jakich Mickiewicz otrzymał katedrę łacińskiej literatury w Lozannie. Dowiedziawszy się od Hieronima Bońkowskiego, że konkurs na tę katedrę rozpisanym, puścił się poeta w drogę do Szwajcaryi, a stanawszy na miejscu, zgłosił się do sekretarza akademii i złożył swoje papiery. Zimno przyjęty, wyszedł z kancelaryi bez nadziei. Szczęśliwym zdarzeniem tegoż samego dnia gościł u siebie sekretarz Saint-Beuva. Podczas obiadu przeszła rozmowa na konkurs. Gospodarz wspominał wtedy, że kandydatów jest wielu, a świeżo nawet zapisał się jakiś Polak.



— Polak? zagadnął słynny literat francuzki — a jakże się nazywa?

— O, nazwiska tych Polaków są tak barbarzyńskie, że trudno je spamiętać; ale zaczekaj Pan, ach, już ja sobie przypominam; — i wykrztusił wreszcie imię, które już wówczas cieszyło się europejską sławą.

— Mickiewicz! — zawołał gość.

— Jakto, Pan go znasz?

— Znam. Ale co mnie dziwi, to—że Pan go nie znasz!

— A jakimże sposobem mógłbym go znać?

— Bo Mickiewicz jest znakomitym poetą.

— Nie uczyłem się języka polskiego.

— Ale pisma Mickiewicza są tłómaczone na wszystkie języki. Ja go osobiście i z bliska nie znam, widziałem go u pani d'Agout (Daniel Stern) i miałem udział w rozmowie, którą prowadził. Przyznam się Panu, że takich ludzi, jak on, nie wielu liczy Europa.

Szkoda, że i ten zajmujący opis zepsuła przesada, podkopująca zaufanie do słów narratora. Wedle niego, na zapytanie sekretarza akademii, jakie języki zna, oprócz łacińskiego, miał Mickiewicz odpowiedzieć:

— Wszystkie europejskie i niektóre wschodnie,

Możemy przyjąć, jako rzecz pewną, że autor *Pana Tadeusza* nie dał takiej odpowiedzi, bo się brzydził kłamstwem...

Na każdej zresztą karcie widać, jak panu N. nie dopisuje pamięć. Mówiąc o wyjeździe poety do Paryża, każe nam wierzyć, że z trudnością przychodziło mu się żegnać z dotychczasowym miejscem pobytu. „W Lozannie — mówi — było mu dobrze; lubiono go tam i szanowano, i on wzajemnie przyzwyczajał się do Szwajcarów. Chociaż Paryż pociągał go swoim blaskiem, skromna Lozanna działała silnie na jego serce.“

Dziwna rzecz, że p. Niewiarowicz, powołujący się na „miłe“ opowiadanie pani Maryi Góreckiej, nie zadał sobie tyle trudu, aby zobaczyć, że ta ze wszech miar wiarogodna i sympatyczna autorka wprost odwrotnie przedstawia sprawę. „Ojciec—czytamy w jej książeczce—mego żalu po Lozannie wcale nie dzielił... Wyżyć nie mógł w ciężkiej i dusznej dla niego atmosferze cichego miasta, gdzie ruchu umysłowego wyższego nie było, ani nikt jego nie czuł potrzeby, gdzie każdemu najzupełniej wystarczała materyalna pomyślność kraju, w którym każdemu spokojnie żyć, z bogacać się i familią wychowywać można. I oprócz



kilku wyjątkowych przyjaciół, z którymi zawsze odtąd pozostawał w stosunkach, Szwajcarowie wykonani, jak nieraz później mówił, z granitu skał alpejskich i przypominający to chłodem i ciężkością swoją, nadto nieruchome stanowili społeczeństwo dla wzniosłej i cierpiącej duszy.“

Mówiąc o stosunku poety do Maryi Wereszczakówny, przytacza autor następny charakterystyczny szczegół. „Razu pewnego w licznym towarzystwie dokuczała młodzież Maryli z powodu, że, jedynie Adamem zajęta, nikogo innego nie widziała, ani słuchała. Właśnie grając w szachy z Adamem, przysłuchiwała się tym złośliwym przekazom, których uszczupliwość na dobre zaczęła jej dokuczać.“ „A tak jest, rzeczywiście—zawołała, obracając się — czemuż mamy prawdę przykrywać szachami? Nie zmieniaj Pan miejsca, bym mogła Panu lepiej i ciągle się przypatrywać.“ „To mówiąc, założyła ręce na piersiach i cały czas nie spuszczała oka z Mickiewicza, podtrzymywała rozmowę z nim dowcipnemi uwagami, których przedmiotem ciągle był Adam, obsypywany przez nią pochwałami i uwielbieniem poetycznych zdolności.“

Maryla, wedle pana N., wywzajemniała się poecie serdeczną miłością; dla czegoż więc wyszła za kogo innego? Oto—„uważali oboje miłość *ich* (ma być *swą*) za tak świętą, tak czystą, że nawet związek małżeński byłby jej — *zakatą*...“ (!)

Jeśli już tutaj uderzają nas dziwne pojęcia autora, tem więcej razi polemika z Odyńcem w kwestyi powrócenia Mickiewicza do praktyk religijnych w czasie pobytu w Rzymie. Posiadamy wprawdzie na to dowody, że sympatyczny autor *Listów z podróży* upoetyzował znacznie ten ważny moment z życia poety, że nawet, nie mogąc sobie przypomnieć niektórych szczegółów, odnosił się w tej sprawie do pani Kuczkowskiej (niegdyś panny Henryetty) i korzystał z jej wskazówek; ale tyle jest rzeczą pewną, że główna osnowa wypadku nie podlega wątpliwości. Tymczasem p. Niewiarowicz, zaręczywszy, że „Adam przyszedł na świat (!) z duchem bogobojnym i religijnym i z temże uczuciem duch ten opuścił cielesną jego powłokę“ — że „nawet bluźnierstwa, gdy o nich pisze, w jego ustach tchną bogobojnością“ — z oburzeniem występuje przeciw Odyńcowi. „Uroili się komuś —mówi—romansowe nawracania Adama, jakby był niedowiarciem, i rozpisują się o tem, bez względu, że to nie prawda, że *po-  
niżają człowieka, uwłaczają geniuszowi, i jego ducha małym (!)  
czynią*...“

Nie będziemy z panem N. toczyli o to sporu, czy się można urodzić „bogobojnym“ i „religijnym“ — ale nie możemy przyznać, ażeby „poniżał człowieka i uwłaczał geniuszowi“ ten, kto opowiada, że po krótkiej obojętności uczucie religijne wzięło w nim górę. My zaś sądzilibyśmy naodwrot, że sąd podobny przynosi ujmę samemu autorowi i podkopuje powagę jego i tak już mocno zachwianą listem p. Wład. Mickiewicza, którego zarzuty napróżno zbić usiłował, posługując się sofisteryą i głośnym powtórzeniem inkryminowanych ustępów. Wogólności podania Niewiarowicza uderzają dziwną niepewnością i niedokładnością. Pisząc hymn pochwalny dla uniwersytetu wileńskiego, tak sprzeczny z opowiadaniem prof. Jundziłła, którego pamiętnika widocznie nie zna, powołuje się na zdanie pewnego cudzoziemca tak ogólnikowo, że o kontroli nie może być mowy. „Może najciekawszą — mówi — jest ta pochwała, która wyszła z ust Niemca. Był on tam profesorem matematyki. *Żałuję, że zapomniał jego nazwiska*, ale czytałem w Pradze u profesora matematyki, Kulika, rodem z Galicyi, dziełko o matematyce w języku niemieckim, wydane w Lipsku, w roku zdaje mi się 1829. Autor z zachwyceniem (?) mówi o uczniach swoich i stawia ich swoim ziomkom jako wzór do naśladowania...”

Nie bez znaczenia dla biografą będzie wiadomość o zatraconym jak się zdaje niepowrotnie poemacie historycznym p. n. *Żyzka* i wytlómaczenie przewodniej myśli *Konrada Wallenroda*. Do napisania pierwszego utworu zachęcił Mickiewicza znany uczoney czeski, Hanka. Autor miał manuskrypt w ręku i czytał pierwszą księgę, która się zaczynała od wspaniałego opisu lasów czeskich. To zaś, co p. Niewiarowicz mówi o zasadniczej idei drugiego poematu, dziwnie się zgadza z komentarzem, podanym przez p. Danielewskiego w r. 1870 w jednym z dzienników poznańskich. Obydwaj postępowanie Konrada tłómaczą wynaturzeniem tej postaci przez anti-narodowy kierunek wychowania, co tem więcej zasługuje na uwagę, że p. N., nie znając zapewne rozprawy pana D., powtarza zdanie, słyszane prawdopodobnie z ust samego Mickiewicza.

W powyższych uwagach wyczerpaliśmy już niemal całą dodatnią treść opowieści p. Niewiarowicza, pełnej dygresyi i dziwacznych ustępów, nie należących zwykle do rzeczy; uie dotknęliśmy tylko jednej, może najważniejszej tutaj, sprawy, to jest towiańszczyzny. Sprawie tej poświęca autor tylko jeden dział swego opowiadania, ale cała jego książka jest na wskroś towia-

nizmem przesiąkla. W panu N. widzimy jednego z najzagorzalszych uczniów mistrza; nie jest on wprawdzie ostatnim z Mohikanów, ale dość już rzadkim okazem w epoce, w której tylu niegdyś wiernych wyznawców odstąpiło słynnego sekciarza. „Wspomnienia“ jego nabierają przez to pewnego interesu; gotowiśmy go słuchać bez uprzedzenia w myśl pięknej zasady: *audiatur et altera pars*. Niestety sam on wyrzeka się korzystania z praw, jakie mu przysługują, czując widocznie, że *advocatus angelicus* towianizmu nie sprostaby przeciwnikowi. „Czuję ważność tego przedmiotu — są jego słowa — ale w zupełności zadość mu uczynić nie umiem, a może i nie mogę.“ Zamiast dotrzeć do jądra rzeczy, woli się przeto ograniczyć do ogólnikowych mglistych wycieczek, oraz do „kreślenia pewnych dat i faktów.“ Posłuchajmy tych faktów, bo one mają dowodzić prawdziwości posłannictwa mistrza. „Najzawziętym prześladowcą Adama był pan Le Tronc, dyrektor w *Collège de France*. Nieprzyjaciel idei Towiańskiego, piorunował przeciw niej; toż samo czyniła jedyna jego córka. Dyrektor umarł, a córka wyszła za gorliwego Towiańczyka, Romualda Januskiewicza, i po śmierci męża zamieszkała przy Andrzeju Towiańskim w Zurychu.“ Drugi fakt, przytoczony dość ostrożnie, ma jednak niezawodnie przekonać, że Opatrzność pomściła mistrza. Towiański jak wiadomo otrzymał od rządu Ludwika Filipa rozkaz bezpowrotnego opuszczenia Francyi. „Dekret ten wydalenia podpisany był 13 Maja, to jest w dzień śmierci następcy tronu, który wyskoczył z powozu w chwili, gdy konie rozhukane biegły jak szalone, i spadając, zabił się na miejscu...“

Nie będziemy powtarzali wyjątków, z których widać, że autor jest bezwzględny i jak najgorętszym wielbicielem mistrza; zwracamy tylko uwagę na historią wyzdrowienia Mickiewiczowej, opowiedzianą wedle słów jej męża. Z ustępu tego widać, że sposób wyleczenia był prosty, że Towiański korzystał tu z magicznego wpływu, jaki umiał wywierać na ludzi, gdy chciał. Poeta wprowadziwszy mistrza do zakładu, zostawił go samego z żoną w ogrodzie. Po kilku zwykłych słowach, zapytał T. chorą, „czy biorąc Adama za męża, zastanawiała się nad obowiązkami, jakie ciążą na żonie wielkiego człowieka?“ a gdy odpowiedziała przecząco, zgromił ją surowo. „Z taką siłą — opowiadała później sama — były wypowiedziane te słowa, że wstrząsnęły mną aż do głębi duszy; następnie osnowa całej rozmowy i jej znaczenie znikły przedemną; tego, co słyszałam,

powtórzyć nie mogę, czułam tylko i zdawało mi się, że tonę, że słowa z ust jego, są niemi ratunku mego. Chwytałam się ich, aż w sile połączonych nitek, za które się chwyciłam, znalazłszy dosyć podpory, wydobyłam się na brzeg przepaści i właśnie w tejże chwili spotkaliśmy się z Adamem, któremu oddając mię mistrz, powiedział:

— Oto masz, bracie, żonę twoją zdrową; odwieź ją do Paryża.“

Wprawdzie jeszcze w drodze i już w domu pojawił się na chwilę paroksyzm; ustał jednak, skoro mistrz „zagrzmiął” swoim potężnym i skutecznym słowem.“ „Usłyszałam—opowiadała pani Celina — jakby głos Mojżesza takiej potęgi, że m rychło powróciła do normalnego stanu.“

Opis powyższy, jak niemniej rozproszone szczegóły o stosunku Mickiewicza do Towiańskiego przed zerwaniem i później, posłużą kiedyś umiejętnemu biografowi za ceną wskazówkę, lubo źródło, z którego pochodzą jest dość niepewne i mętne.

K. K.





